Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 37. Poznań, dnia 9. Grudnia. 1839.

Literatura zagraniczna.

Des idées Napoléoniennes *par le prince Napoléon — Louis Bonaparte.* Paris, 1839.

W świeżéj jeszcze pamięci niepomyślne wystąpienie autora książki na scenie politycznego działania. Synowiec wielkiego cesarza Francuzów, w zasługę téj wielkości stryja zapragnął tronu, marząc, że pośmiertna sława Napoleona pozyska mu umysły wszystkich, i utoruje drogę od Strasburga do Tuilleriów. Ale we Francyi przebrzmiały już echa bojowéj chwały, a wśród krzyżujących się kierunków samego materyalnego mieszkańców dobra, miniona wielkość Napoleona już nie zachwyca do poświęceń dla jego familii. Wyrok wygnania ciążący na niéj, którego po 25 latach od upadku cesarza, dziś jeszcze Francya nie znosi, pokazuje wyraźnie brak takowéj sympatyi, będącéj skutkiem zimnego obrachunku, że nie członkowie rodziny tylko, ale cały naród jest spadkobiercą zasług i sławy wielkiego męża. Smutne doświadczenie nie pouczyło téj prawdy Ludwika Bonapartego; przegląda się jeszcze z rozkoszą w blasku majestatu cesarskiego, zkąd na jego przyszłość ułudliwa bije łuna, i ten urok, który go nadzieją upaja, radby rozlał na cały naród.

»Gdyby wypadki« — powiada w przedmowie swójéj — »nie były zmieniły przeznaczenia, do którego mnie powoływało urodzenie, synowiec Napoleona, byłbym stanął jako obrońca tronu jego, jako apostoł jego myśli; byłbym zasłynął światu, czy to stawszy się jedną z podwalin potężnego gmachu, czy też w walce za Francyą poległszy na czele którego pułku gwardyi. Nie ma już Napoleona! ... ale duch jego jest z nami. W niemożności osłonienia bronią władzy jego opiekuńczéj, bronić przynajmniéj będę jego pamięci przez pisma. Rozjaśnić opinią publiczną, wykrywając myśl przewodniczącą wielkim jego planom, wywołać z przepomnienia rozległe i wzniosłe pomysły, oto zawód, ku któremu uśmiecha się serce moje, który mnie pociesza na wygnaniu!«

Taki cel pracy swojéj zapowiada autor, inna przecież z całego pisma przebija się dążność ukryta: jest to raczéj manifest protestujący przeciw obecnemu stanowi rzeczy we Francyi, odezwa do sympatyi ludu francuzkiego, jest to apoteosa Napoleona, promieniejąca blaskiem wielkości i zasług, zlewających się na Francyą i na Europę. Wykazać, że Napoleon, mimo absolutnéj władzy, którą dzierzył, był mężem ludu, stróżem jego swobód i wolności; że był oswobodzicielem narodów, mimo uciskającego je wojskowego despotyzmu; że jeżeli wielkiém i świetném było to, co uczynił, nierównie miało być większém i świetniejszém, co zamierzał; — oto istotny zamiar pisma ideów Napoleońskich.

Wysłania się ta dążność w pierwszym zaraz rozdziale, robiącym niejako wstęp ku wyjaśnieniu spraw Napoleońskich, wyjęty z zasad ogólnéj polityki. Autor zastanawia się nad rządami w ogólności; powiada, »że ludzkość postępuje wciąż w cywilizacyi, ale jest jako człowiek, pełna przywar, namiętności, skażenia, co postęp jéj tamują, że rządy prowadzą ludu na kolei postępu, o wiele szybciéj, gdy stoją niezawiśle na ich czele, o wiele wolniéj, gdy są rozłożone na massy; że więc formy rządowe, czy to są demokratyczne, arystokratyczne, konstytucyjne, czy absolutne, nie robią przez się postępu, ale robią go rządy. Alexander, Cezar, Konstantyn, Karól, Napoleon: oto milowniki postępu cywilizacyi ludzkiéj, nie byli wszakże krępowani żadną formą rządową, o którą też cale nie chodzi; każda jest dobra, gdy leży w zadaniu wieku, i odpowiada potrzebie ludu; a rząd tam jest postępowy, gdzie odgaduje i spełnia to zadanie. W dzisiejszéj epoce podług Bonapartego tylko Rossya, i Zjednoczone Stany Ameryki spełniają missyą postępową: pierwsza, silną skoncentrowaną wolą, to łamiąc się z zestarzałą Europą, to szląc oświatę między barbarzyńskie Azyi hordy; Zjednoczone Stany zaś, zaludniając obszerne nowego świata przestworza, do czego tak luźnego, jak tam jest

w istocie, potrzeba rządu.« — Otóż teorya polityki księcia Ludwika Bonapartego, tak płytka, że pierwszym rzutem oka celu na dnie dojrzysz. Szło o to, aby dowieść, że Napoleona system rządowy najściślejszego absolutyzmu, nie był wbrew wolnościom, o które się Francya od r. 1789 dobijała, że raczéj był jedyną, przez stósunki czasowe nakazaną formą rządową, którą ich dopiąć i w życie wprowadzić można było.

»Rewolucya (mówi autor w rozdziale II.) obaliła, ale wykorzenić nie mogła zabytków dawnego rządu i porządku społecznego, do których się człowiek, jako do form raz przyjętych, uczuciem swojém przywiązał; i dla tego to tak łatwo było Napoleonowi, przywrócić obrządki religii, stać się rządcą udzielnym, a nareszcie cesarzem dziedzicznym, i otoczyć tron swój blaskiem niedawno co wywołanych tytułów. Bez konsulatu i cesarstwa rewolucya francuzka byłaby tylko odegranym wielkim dramatem, zostawującym po sobie same wspomnienia, bez żadnego rzeczywistego śladu. Napoleon zakorzenił ją we Francyi, rozprowadził po całéj Europie; ale ją oczyścił wprzody, oddzieliwszy prawdę od szału i namiętności; królów utwierdził przez utwierdzenie powagi rządowéj; ludy uszlachetnił, dawszy poznać ich siłę i znaczenie. W pierwszych chwilach obalonego dawnego porządku rzeczy, nie gonił za teoryami, ani ich w życie wprowadzał, ale raczéj to, co było, z nowémi wyobrażeniami godził. Znał dokładnie życie i ducha narodu, i tą sztuką podgarnął pod siłę woli i geniuszu wszystkie stronnictwa, wszystkie różnorodne żywioły opinii.«

Po tych poprzednikach autor w rozdziale III. daje nam obraz działań i urządzeń Napoleona, zaprowadzonych ulepszeń i reform we wszystkich gałęziach administracyi i ekonomii krajowéj, w wydziałach prawa, handlu, przemysłu, oświecenia. W krótkiém, jasném a trafném wyłożeniu zebrał i wyświecił całą wielkość Napoleona. Patrząc się na tyle olbrzymich dzieł jednego człowieka, w przeciągu lat niespełna dwudziestu dokonanych, zdumiewamy się słusznie i nad ogromém wielorakiéj pracy i nad szczytnością jaśniejących w niéj pomysłów; a gdy pomnimy, że to wszystko było dziełem krótkich tylko chwil pokoju, wśród nieustających wojen z wszystkiemi naprzemian mocarstwy Europy, podziwiając i potęgę geniuszu i sprężystość woli, uczujemy jasno tę prawdę, że wieki na takiego zdobywały się męża.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Krakowiak.

1.

Polećć pieśni z miasta, choć miasto nienudzi,
Miasto — piękne cegły — ty leć między ludzi.
Ty leć między ludzi, na tych pól zagony,
Co potem, krwią zlane, bujne dają plony.
Tam ciebie zrozumią pod słomianą strzechą,
Tam serce stroskane rozjaśni pociechą.
Rozjaśni pociechą, zaśpiewa rozgłośnie,
Jak mały skowronek, wróżący o wiośnie,
Co nad brylki śniegu dumnie podlatuje,
Choć ziębi skrzydełka, lecz wiosnę przeczuje.

2.

Tam ciebie zrozumią, tam z niejednéj wieści,
Co zabrzmi z przeszłości, serce się upieści.
Posłuchaj młodzieńcze, posłuchaj Halino,
Tych powieści starych, które z Wisłą płyną,
Które z Wisłą płyną, po jéj falach skaczą,
Nucą w drzew gałązkach, w szumie wiatru płaczą.
Tych powieści starych, które z ojców dziatki
Wyssały w puściznie, jakby z mlekiem matki,
I dziś o nich marzą, uroczyście święcą,
Bo one wstrząsają nawet pierś dziecięcą!

3.

Dawne to są czasy, lecz o nich pamięta
Nasza Wisła sławna, stu rzekami wzdęta.
I nieraz szkielety powyrzuca ze dna,
I szwedzka tam czaszka zaświeci niejedna;
Zaświeci niejedna tam czaszka tatarska,
Którą zmiotła z karku szabla i dłoń dziarska,
I późniejszych czasów niejedna w jéj głębi
Nieprzyjazna głowa, na wieki się ziębi;
Ziębi się na wieki w wirach i mieliznie,
Bo pocóż niebyło siedzieć w swéj ojczyznie!

4.

Siedzieć w swéj ojczyznie, niepragnąć cudzego,
I żywić się chlebem ze zagona swego!
Tak, jak Bóg przykazał, jak ojce robili,
Co karmili drugich, choć z swéj roli żyli! —

E. W.

Tadeusz Czacki i Krzemieniec.

(Dokończenie.)

Gdym nazajutrz stanął przed Czackim, przyjął mnie jak ojciec marnotrawnego syna z uśmiechem i dobrocią na twarzy, ale z groźnym w oku wyrzutem, bo rzeczywiście jeśli nie majątek, to coś droższego daleko od majątku, czas i młodość dotąd na próżno marnowałem. Ale wracam do Czackiego. Urodził się w Porycku na Wołyniu r. 1765 z rodziców majętnych

i znaczących w kraju. Matka jego była rodzoną siostrą Małachowskiego, marszałka sejmu 1788. Gdy mu umarła, a ojciec przez 7 lat był więziony, stryi wraz z bratem wychowywał go w Gdańsku; późniéj wychowywał się w domu pod okiem Jezuity Grodzickiego, który go tak dobrze wyuczył po łacinie, iż w późniejszym wieku nieraz całe mowy Cycerona z pamięci powtarzał. Obdarzony bystrém pojęciem, nadzwyczajną pamięcią, wkrótce sam czytaniem książek kształcić się począł. Poznawszy wysoką cenę światła nauk, już w młodości część dochodów swoich na uczenie sierot obracał. Od zasiadania w sądach zadwornych koronnych rozpoczął swój zawód publiczny w r. 1784. Dwudziestoletniego młodzieńca nieomamił blask wielkiego świata, do którego mu majątek i urodzenie wstęp otworzyły; żywy nadzwyczajnie i bystry, szukał znajomości i przyjaźni Naruszewicza i Albertrandego, ludzi ciężko-uczonych i dojrzałych. Od nich biegał do biblioteki Załuskich, dziwił się, iż tyle rzadkich skarbów mało jeszcze znano, i cenić nie umiano. Wśród tych naukowych zatrudnień, dla którychby drugi, między cztérma ścianami się zamknął, i jak częstokroć u nas bywa nie pracował nad literaturą, ale nią bawił się, Czacki ciągle był czynnym w różnych urzędach, do których go Stanisław August i sejm powoływał. W r. 1785 zasiadał w kommissyi kruszcowéj, w r. 1786 w skarbowéj, i zaraz wyrobił na sejmie, iż Jana Mieroszewskiego i innych na naukę górniczą do Węgier posłano. Wkrótce objechał Litwę, Wołyń i Podole dla poznania portów, kwarantan, spławności rzek i przeszkód jakich handel doznaje; był u księcia Mołdawskiego Ypsilantego dla porozumienia się względem soli i wódki i własnym kosztem (10 tysięcy czer. zł.) dał zrobić mappę hydrograficzną Polski i Litwy, która dziś w Petersburgu znajduje się; podał myśli swoje o handlu Polski z Turcyą przez morze czarne i wystawił stósunki handlowe swojego kraju ze wszystkiemi ościennemi narodami; pisma ważne, dziś do historyi należące, które w Dzienniku Warszawskim i Pomnikach Michała Wiszniewskiego znajdują się. Patrząc na mappę hydrograficzną dawnéj Polski, wyrzekł z boleścią: jak kraj nasz mógł być bogaty i zamożny; nie użyliśmy daru natury! Pisał prócz tego o urządzeniu i zaprowadzeniu rękodzielni, o reformie żydów i w. i. Trzy ogromne tomy o rzeczach skarbowych, własną jego ręką zapisane, biblioteka Porycka posiadała. — Tak czynnie i gorliwie gotował się na przyszłego urzędnika, wtenczas, kiedy ostatnie chwile kraju zbliżały się. Niektóre części ustawy 3go Maja niepodobały się Czackiemu; historya objaśniając tę okoliczność i w tém wyższy nad wiek swój rozum i pojęcie jego wykaże, bo historyi tego czasu jeszcze nie mamy. Gdy mu majątek zabrano chciał zostać professorem w Krakowie i zająć się wychowaniem własnych dzieci. Tymczasem za wstąpieniem na tron Pawła I. wrócono mu majątek, a od Stanisława Augusta otrzymał zbiór rękopismów do historyi Polskiéj, którą w zaciszu domowém napisać sobie zamierzył. Obrany od obywateli Kijowskich i Podolskich do komissyi bankowéj, w r. 1799 bawiąc w Warszawie, założył Towarzystwo Przyjaciół Nauk z Albertrandym, Stanisławem Sołtykiem i Franciszkiem Dmochowskim. Wkrótce począł objeżdżać całą Polskę dla szukania materyałów do historyi; przerzucił tajemne archiwum Królewieckie, odszukał grób Kopernika, zwiedził książnicę na Łyséj górze, był w Gdańsku, Gnieźnie, Poznaniu, Kaliszu i Kujawach. Objeżdżał całą Polskę, znał każde polskie miasto; za granicą nigdy nie był, nawet w najbliższym Wiedniu. W r. 1803 po ukończeniu czynności kommissyi bankowéj cesarz Alexander I. mianował go wizytatorem szkół Wołyńskich, Podolskich i Kijowskich; urząd nie wielki, wkrótce w ręku Czackiego nowéj wagi i nieznanéj nabrał świetności. Wiedząc, że człowiek i naród jest tém, czém go zrobi wychowanie, poznał zaraz całą jego ważność. Z całym więc zapałem i właściwą sobie gorliwością, poświęcił się sprawie oświecenia tych ziem, które, jak sam poznał i otwarcie pisał, cofnęły się w oświeceniu, i już tém przez resztę krótkiego życia zajmował się. — Trzeba było widzieć na własne oczy, patrzeć na Czackiego, żeby sobie wystawić, jakie ten zacny mąż przełamywał trudności, jak próżności i głupstwu nawet wysługiwać i pochlebiać musiał, jak walczył nie tylko ze złością, ale z omyloną cnotą, aby przyszłe pokolenie wyrwać gnuśności i ciemnocie. Wszystko jednakże z uśmiechem, wesołą twarzą znosił; o cierpieniach jego tylko garstka mała jego poufałych przyjaciół wiedziała; my patrzyliśmy tylko na kwiaty, których ciernie przed nami ukrywał, a owoców się niedoczekał.

Chcąc podnieść oświecenie i nauki w ziemiach ruskich, trzeba było wydobyć z rąk obcych fundusze pojezuickie, nienarażając sobie chciwości, uzbierać nowe, aby pod skromném imieniem gimnazyum szkoły początkowéj wznieść akademią, w któréj nie jedna najważniejsza nauka, a mianowicie matematyka, nauki fizyczne, i prawo krajowe w całéj rozciągłości było wykładane. Zbieraniem tych funduszów z rzadką cierpliwością i wytrwałością Czacki się zajął; od skąpców, sknerów wierutnych potrafił wycisnąć grosz mocno w garści ciśniony; opactwa, klasztory i kahały nawet składały się na szkołę Krzemieniecką. Sam jego widok

nabawiał zakonników trwogą o książki za organami lub w śpiżarni gnijące, a najwięcéj o fundusze. Gdy raz do jednego klasztoru dominikańskiego z generałem Kropińskim, autorem Julii i Adolfa, po południu zajechał, zbudzono nagle przeora spoczywającego po trudach i częstowaniach odpustowych. Czacki, mający wzrok bardzo krótki, rozpoczyna swoim zwyczajem szumną mowę do wpół drzymiącego przeora, żeby go do jakiejsiś ofiary na szkołę Krzemieniecką pobudził. Zacny przeorze światło tego zakonu! zaczyna Czacki; a przeor, mając na myśli fundusze klasztoru, rozumiejąc, że tu idzie o zbywające fundusze, przerywa mu i głosem z nosa puszczonym powiada: Co do światła, pani Bączkowska dała krążek wosku.

Jeżeli uzbieranie funduszów miało tyle do przełamania trudności, zebranie professorów było jeszcze trudniejsze. Śniadeckich i kilku innych już do Wilna zabrano. Czacki szukał w zakątach domowych ludzi uczonych, których wówczas nie wiele było. Przywołał z Krakowa Szejdta, Czecha, i to był wybór najszczęśliwszy; pierwszy wkrótce umarł, lecz Józef Czech był użytecznym dyrektorem nowéj szkoły. Umiał dobrze matematykę i języki, co jest zasadą każdego lepszego wychowania. Słowacki poeta był ziemiomiercą, ks. Aloizy Osiński domowym nauczycielem. Tych tylko dwóch znanych w literaturze ludzi wynaleźć potrafił. Reszta była więcéj niż mierna, i tylko dobry system tak ich pożytecznymi uczynił. Wilno dopiero w lat kilka przysłało godnych i światłych nauczycieli. Przybył Michał Choński na professora ekonomii politycznéj; Szostakowski, uczeń Jędrzeja Śniadeckiego, na professora chemii; Besser i Jurkowski przybyli z Krakowa. Czacki, który sam nigdy w szkołach niebył, wszystkich professorów prowadził, zachęcał, uczył, dla niektórych mowy, a dla innych, jak dla professora prawa krajowego Ołdakowskiego nawet całe sexterna pisał; gorliwszych chwalił, nagradzał, niektórym n. p. Łuczyńskiemu z własnéj kieszeni dopłacał, a nie jednego łajał; najbiedniejszym był professor historyi stary już Mirowski, pod naczelnictwem kommissyi edukacyjnéj professor fizyki, którego sam Czacki wziął był na professora historyi. Od tego biedaka tępego pojęcia i małéj pamięci, lecz bardzo poczciwego człowieka, wymagał Czacki bystry szalonéj pamięci, który karty w zbiorze koncyliów pamiętał, takiéj na każde zapytanie gotowości, tak rozległych wiadomości, jakie sam w sile wieku posiadał. To jest jedyna niewyrozumiałość, że niepowiem niesprawiedliwość Czackiego, którą sobie przypominam. Bo wreszcie był to najlepszego serca i nieskazitelnéj cnoty człowiek, przystępny dla wszystkich, poufały z każdym, a jednak szanowany od każdego, poważany nawet od niechętnych; bawił się z dziećmi a myślał o rzeczach wielkich; grał w piłkę, a na potomność, na sąd historyi ciągle poglądał; miał wielki rozum a sercem się rządził. Umarł 1813 roku w Dubnie. Przybywszy tam na pogrzeb, widziałem szczątki owego strasznego Napoleońskiego wojska; jeszcze strzelcy konni z gwardyi Napoleona w niedźwiedzich czapkach i jeńcy Sascy, jak cienie mijającego świata po ulicach się przewijali; byłto koniec napoleońskiéj epizody w historyi. Trumnę Czackiego wieziono obok wielkiéj jamy, zaraz za miastem wykopanéj, w któréj zmarłych Sasów chowano. Ta jama — wieleż łez niewycisnęła, wiele to pochłonęła nadziei! Kto pamięta, kto przeżył r. 1813., wie, z jakiemi to boleściami czas nową epokę rodzi.

Z. Z.

Wyjątki z Stefana Czarnieckiego,

Powieści M. Czajkowskiego dotąd drukiem nieogłoszonéj.

(Dalszy ciąg.)

Żeromski zwinął się za winem, a w tém nadszedł starościc: »A gdzie pan hetman, panna hetmanówna?« — »Mospanie, kto dwom panom chce służyć, żadnemu niedogodzi, i obudwóch straci. Z waszmościa widzę bałamut całą gębą. Na uczcie do hetmanówny na czysto się bierze, przy wieczerzy do Francuzicy oczy zawraca, a teraz jak kleszcz przyczepił się do wojewodzianki. Dobrze robi pan kasztelan, że ciebie niepuszcza z królową, bo byś tam dziewczęta pobałamucił, i narobił psot co niemiara. Panie Janie, jak się niepoprawisz, zostaniesz starym kawalerem, ja ci to z doświadczenia mówię; tak i ja broiłem, a teraz muszę pokutować, ale otoż i Żeromsio z winem. Daléj do kieliszka, a potém do obozu!« — Starościc nie słuchał, namarszczył rzęsy na czarne oko i milczał. — »No Żeromsiu, w twoje ręce za zdrowie pana hetmana polnego!« — łyknął wina, przechylił kielich na paznogieć, połknął kropelkę, co nań się zcedziła — »powiedz waszmość hetmanowi, że aż do paznogcia wypiłem za jego zdrowie.« — Żeromski takoż łyknął — »A panu starościcowi, czy będzie wola!« — »Daj mu waszeć pokój, nie kielich mu tam teraz w głowie, biedny chłopczyna, już on i tak pijany. Chodźmy panie Janie, dobranoc ci Żeromsiu! bogdajeśmy się zobaczyli jak najprędzéj, ale przy winie, nie przy wodzie.« Wziął starościca za rękę i wyszli.

Tegoż samego wieczora, kiedy w królewskich komnatach senatorowie, rycerstwo i różnego stanu ludzie, jak pszczoły zlatywali się po rozkazy, z doniesieniami, by witać albo żegnać osoby ich królewskich mościów, w dolnéj części zamku, w izbie dość obszernéj, koło okrągłego stołu siedziało dwóch ludzi, już podeszłego wieku w jezuickich sukniach. Na stole zapalone dwie świece, przed każdym złota tabakiera. Obadwa podparli głowy na dłoniach a łokcie na stole i rozmawiali: »Ojcze Dąbrowski, trudne nasze posłannictwo, ale konieczne; ludzie świata nas nieznają, i dla tego powstają przeciwko nam. My służymy świętemu kościołowi, a tém samém i ojczyznie. My podług słów Chrystusa chcemy, aby cesarzowi było oddane co cesarskiego, a Bogu co Bożego. Szanujemy władzę doczesną, ale staramy się o zbawienie wiekuiste.« — »Prawda, ojcze, i wielka prawda, ale powinnibyśmy goręcéj pracować nad zjednoczeniem wszystkich synów Polski, bo tylko tą jednością i siłą królewskiéj władzy, Szwedzi będą pokonani; a nas oskarżają, że stajemy na zawadzie do zgody z Chmielnickim, że my odpychamy ofiary, jakie on chce zrobić dla zbawienia Polski.« — »Wierz mi ojcze, oskarzenie niesłuszne. Świeckie rzeczy do nas nie należą, a błąd wpuszczać na łono kościoła, byłoby to wielkim grzechem; byłoby to dobrowolnie i umyślnie wprowadzać zarazę między zdrowych ludzi. Niech błędu się zaprze, do prawdy wróci, kościół go przyjmie jak syna, my jak brata. Z resztą czas pokaże, co wyjdzie na lepsze dla Polski. My róbmy, co nam z góry kazano, bo przedewszystkiem posłuszeństwo dla władzy. Mamy my i tak wiele do roboty.« — »O! co mamy, to mamy!« — »Przynajmniéj mój, rozumny, dobry, prawdę widzi, i prawdzie służy; ale twój ojcze Dąbrowski?« — »Mój nielada mąż, prawdziwy szlachcic polski, dzielny w boju, bo własną ręką włada, w radzie mądry, ma wielką cnotę, że szanuje władzę królewską ale z drugiéj strony, jak wielu ze szlachty, niecierpi wyższych, równych nie ze smakiem znosi, a niższych w najsurowszéj ryzie trzyma.« — »Trzeba mu trochę pokory dodać, i godzić go ze wszystkimi. Zgoda między dziećmi jednego kościoła i jednéj ojczyzny, koniecznie potrzebna.« — »Ja nad tém pracuję, bogdaj wszyscy toż samo robili.«

Wtém jakieś kroki dały się słyszeć i wkrótce drzwi się otworzyły. Ojciec Krajewski powitał przybyłego gościa — »To ty ojcze Woto, proszę siadać, czém sobie rozkażesz służyć?« — Młody Jezuita miał ciągle ku ziemi spuszczone blade czoło, piękne czarne oko przymglone było rzęsą, a na włoskiéj twarzy, któréj rysy przypominały starożytną rzeźbę mistrza, pokora osiadła miejsce dumy — »Dziękuję ci wielebny ojcze, z polecenia ojca generała przychodzę po twoje rozkazy.« — »Zaraz dam list;« — poszedł do kantorka — »czy ojciec Canasili jeszcze niewyjechał?« — »Ojciec generał już w téj chwili musi być w drodze.« — »Oto jest list ojcze, wprost się udaj do marszałka koronnego; — ale powiedz mi ojcze, co to za człowiek świecki, któregom widział wczoraj z tobą?« — »To mój rodak Carlo Asario, wczoraj przyjechał do Warszawy. Hrabina z La Grange dziś mi przyobiecała umieścić go przy dworze pana marszałka koronnego, albo jakiego innego pana.« — »Ojcze, czy go znasz?« — »Nie, ja go dawniéj nieznałem, ale to mój rodak.« — »Ojcze, strzeż się, kto wie, kto on taki, i jakie jego zamiary? Jeźli co złego zrobi, to na nas spadnie; nam trzeba postępować bardzo ostrożnie.« — »Dziękuję za radę wielebnemu ojcu, ale możesz być spokojnym; to mój rodak, a ja znam jego rodzinę. Uniżenie się polecam łaskom wielebnych ojców.« Pokornie się ukłonił i odszedł.

Na święto-Jańskiéj ulicy przed zamkiem przechadzał się człowiek słusznego wzrostu, przybrany w długi neapolitański płaszcz czarnéj barwy; w oczach jakaś chorowitość nie cierpiącego ciała, ale dręczącéj się duszy; sam z sobą rozmawiał: »Złota mi trzeba, za złoto wszystko dostanę. Przy nim ... przy nich ... mimo ich wiedzy ... mimo ich woli ... potrafię zrobić złoto ... a ...« — tu jakiś głos cichy zawołał: »Carlo!« — Mimowolnie zadrzał marzący Włoch — »To ty ojcze Woto?« — Ojciec Wota niesłyszał żadnego słowa z dumania Asaria, niespójrzał nawet na jego twarz — »Chodźmy zaraz, jedziemy!« i poszli na Krakowskie przedmieście.

Brzask dniowy zawitał na niebo, już i słońce złotym czubem wyjrzało z za krawędzi ziemi. Świerkanie konika polnego, jakby konało, coraz wolnieje i wolnieje, a natomiast skowronek pośpiewuje dźwięcznym a drgającym głosem; kiedy niekiedy już tylko przepiórka w zbożach się zawabi, ale za to ptastwo rozmaite po polach tłumnie i gwarnie świegocze. Od Wolskiéj zastawy złocą się piaszczyste drogi, na równych niwach srebrzą się zboża, i jak fale morskie, wiatrem chwiane, kłonią się i wznoszą kłosiste czoła. Rosa perli łąki i gdzie niegdzie w brylanty zaczyna się przerzucać. W dali na lewo już dobrze zamajaczał zielonością las bielański, a z tyłu do rzeki Mazowiecka Warszawa rozrzuciła swoje domy, wszystkie nowe, świeże, kształtne. Niewiele kościelnych kopuł wystaje nad miasto; nie wiele gmachów olbrzymią postawą odcienia się od zwy-

czajnych domów; i z tych gmachów mało który pamięta czasy Zygmunta Starego, a jeszcze mniéj książąt Mazowieckich. Za wieńcem miasta na prawo i na lewo lśkni się szeroka wstęga Wisły, a dokoła widać mazowieckie sioła, przylaski, wiatraki i folwarki mieszkańców Warszawy.

Na prawo od Wolskiéj zastawy kwarciane wojsko i szlacheckie chorągwie, rozłożyły się obozem; stoją rozpięte namioty dla starszyzny. Konie jedne poprzywiązane do sznurów, drugie pasą się po błoniu, a pancerni, szeregowi, towarzysze i kozacy, pasują przybory i broń czyszczą; ci jeszcze śpią na trawie, a tamci ranni ptakowie, dumki nucą, podają sobie flasze z rąk do rąk i krzepką okowitą gardło odwilżają: ogień krzeszą, tytuń kurzą albo zażywając tabakę, prawią to o bojach, to o miłostkach.

W obozie chodzą mierzonym krokiem piesze warty, na polach porozstawiane konne czaty, jak dzikie grusze majaczeją. Zwiady jedne przychodzą, drugie odchodzą. Przekupki Warszawskie z daleka za łańcuchem straży, oczkami, rączkami, jadłem i napojem, wabią panów żołnierzy, ale żadna niepoważy się przyjść do obozu, bo zakaz surowy im tego wzbrania. Wszędzie karność i ład; widać, że tam pan kasztelan Kijowski dowodzi: panowie wojacy nawykli go kochać jak ojca, a bać się jak djabła.

We środku obozu stał namiot z płótna podbity tureckim muzułbasem, pod nim na rozłożonéj opończy siedział pan kasztelan Kijowski, a w drugim kącie ojciec Dąbrowski przybrany w podróżnéj rewerendzie, stał oparty o juki. Kasztelan kręcił brodę ręką — »Mości ojcze kapelanie, i jakże?... posłali po wielkiego hetmana Litewskiego. Im by to ubliżało, żeby Lanckoroński albo Czarniecki dowodził wojskom, im trzeba mitry księcia Radziwiłła.« — »Dobrze zrobił król jegomość, że posłał rozkazy do księcia Janusza Radziwiłła, do Jerzego Lubomirskiego, i do pana hetmana polnego Gąsiewskiego, aby wychodzili w pole przeciw Szwedowi; wszak to Polacy tacy, jak Lanckoroński i Czarniecki.« — »Ja wiem, że oni chcą Gąsiewskiego, to służalec panów, pieczeniarz, ale nic z tego nie będzie. Lanckoroński nie pozwoli, targać się na swoje prawa. Niech przyprowadzą wojsko Litewskie, my się do niego mieszać nie będziemy.« — »Panie kasztelanie, ależ zgoda potrzebna dla dobra ojczyzny?« — »Ja chcę zgody, ale niech djabli wezmą tych magnatów. Ojcze kapelanie, ja wzrosłem nie z soli, nie z roli, ale z tego, co mnie boli...« — i wziął się ręką za twarz — »moi przodkowie i ja nie wycieraliśmy kontuszów w przedpokojach pańskich, aniśmy żebrali tytułów po za granicami ojczyzny. O nie! Czarnieccy nie mazgaje, szablą służyli i służyć będą ojczyznie i królowi jegomości.« — »Wszakże to nie panowie, tylko król jegomość wydał rozkazy?« — »Prawda, prawda, król jegomość, króla jegomości trzeba słuchać, bo inaczéj źle będzie. Ale ci panowie?« — »Zgoda z nimi! wszakci oni Polacy?« — »O nie! z nimi zgoda trudna!« — pokręcił brodę, pomyślał trochę — »niech ich tam djabli wezmą! zresztą nie teraz czas z nimi się zwadzać, tu idzie rzecz o całość ojczyzny i o majestat polskiego tronu;« — wstał — »Mosanie Kunicki!« — Wszedł sotnik kozackiego pułku. — »Powiedzieć pułkownikowi Teterze, niech każe Semenom na koń siadać, po całym obozie trębacze niech otrąbią pobudkę, a dla mnie Hryniewicz niech przygotuje białego.«

Trzykroć razy trębacze w trąbki potrąbili, żołnierstwo wstaje i bierze się do koni i do broni. Semeni na koń siadają, a przed ich szeregiem przechodzi się Tetera z panem starościcem Zakroczymskim. Starościc markotny lewą nogę powłacza po ziemi, widać z gniewu — »No, ty się w czepku urodziłeś, Tetero, i boju nieopuścisz, i szczęście ci się garnie do rąk« — »Co za szczęście! kilkanaście mil kłusować po waszych nawidzonych piaskach, duszę wyprzeć z koni, zmitrężyć ludzi, dla tego, żeby kilkadziesiąt bab szczęśliwie do Krakowa zajechało? Dziękuję ci za takie szczęście.« — »Tylko no nie udawaj zapiekłego kozaka; znamy się my na farbowanych lisach; wiemy, że ci oczy dobrze błyszczą do nadobnych buziaków Laszek.« — »W czasie pokoju niemówię, nieporzuciłbym waszéj Laszki; ale w czasie wojennym na licho mi się one zdały. Teraz i od czarnobrewy Ukrainki uciekłbym, jak od bisa.« — »Ale nie od panny Joanny, nie od panny Rozalii, wszak prawda, panie kozacze? Ja myślałem, żeś ty się odmienił, ale nie, zawsze po ukraińsku, blichtry lubisz puszczać: nawet przed przyjacielem.« — »Serdeczny bracie, u nas na Ukrainie wszystko szczerze, otwarcie; i ja ci szczerze mówię: panna Rozalia, panna Joanna, córki dobrych przyjaciół nieboszczyka mego ojca; dziećmi na ręku nosiłem, lubię ich jak siostry, a szanuję jak córy zacnych Polaków; ale więcéj nic. Ty zaś Jasiu, zakrawasz na kozaczą dumkę; co powiada: że u wojaka trójcą, gorzałka, lulka i dziewczyna Anulka.« — »Kto ci powiedział, że ona?« — »Kto ona? nikt mi nie gadał, ja nic niewiem, czego ty chcesz?« — »Tylko nie udawaj, kiedy wiesz, chódź, powiem ci wszystko;« — i odciągnął na stronę, ale wtém ukazał się Wąsowicz: »Hola mospanowie, czy znowu jaka bójka? a to u sto katów bziki na was ponapadały, nic z tego nie będzie, kładę areszt na waszeciów i zapozywam przed sąd pana

kasztelana Kijowskiego.« — Tetera się rozśmiał: »Panie Żytomirski, zkądże panu uroiło się, że między nami mają mieć miejsce bójki. My spokojni ludzie, dawni i dobrzy przyjaciele.« — »Łagodni jak trusie przy kobietach, ale nie tu. Nie z jednego ja pieca chleb jadłem; wiem, że gdzie djabeł nie może, tam kobietę poszle, a ona i przyjaźń i dawną znajomość i pokrewieństwo nawet, w proch, w niwecz obróci. Czy to ja nie widzę, jak się ten zawadijaka marszczy, jakby mnie zjeść chciał.« — »Uspokój się, panie starosto, zaręczam panu żołnierskiém słowem, że żadnéj zwady między nami niemasz.« — A starościc dodał: »Mój miłościwy starosto, pozwól, abyśmy z Teterą pomówili, mamy ważne rzeczy między sobą.« — »Językiem waszmość panowie rozmawiajcie, jak chcecie i póki chcecie, ale ręką wara. Ja tu stoję na straży, jeden wasz mig do szabelki, pójdziecie gnić *in fundo* w więzieniu. Bo też by to była już zgroza nad zgrozami, żeby takich dwóch dzielnych chłopców, podpory i nadzieje ojczyzny, biło się z sobą, za jedną dzierlatkę. Prawda, że panna Lanckorońska i z pierza i z mięsa łakomy kąsek; ależ ten zawadijaka jéj strzeże, jak smok zaczarowanego skarbu? Wczoraj obciął wojewodzica, mniejsza o tego czuryłę; teraz szuka przyczepki do Tetery, z tymby nie tak wygodnie poszło, kozak zna krzyżową sztukę, szabelkę nie dla zwyczaju nosi. Zresztą szkoda obudwóch, ja ich kocham, jak własnych synów, niepozwolę. Ale bogdajby nie zgadło moje przeczucie, że ta podróż do Solca na dobre nie wyjdzie Teterze, te świegotuszki i z niego gotowe zrobić gaszka albo warjata, jak pan Jan. Dobrze to mówią: jak wojak wlezie w babiniec, to się zaraz schyrla. Żalby mi było kozaka, żeby mu zaswędziła miłość pod nosem;« — i sam do siebie mówił, ręką machał, wąs targał i pilném okiem pozierał na Teterę rozmawiającego z starościcem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korrespondencya.

List Trentowskiego do redaktora Tygodn.

(Ciąg dalszy.)

Przyzwyczajony do niemieckiego pióra i autorstwa, rozpisałem się obszerniéj, niż zamierzyłem. Skoro się zatém raz już tak stało, muszę zostać przy konsekwencyi i tejże saméj księżycowéj listu mego pełni. Wzywasz mię, żebym płodami mego umysłu Tygodnik Twój zasilał. O! chętnie, całą duszą gotówbym był wezwaniu Twemu zadość uczynić i dla ziomków moich, ile siły dozwolą, pracować, gdyby to tylko było w mojéj mocy. Słuchaj więc, opiszę Ci moje położenie. Jest to rzecz bardzo wprawdzie prozaiczna, ale cóż robić? Całe życie dzisiejsze jest prozą! Czytam na tutejszym uniwersytecie filozoficzne prelekcye i mam przeszło piętnaście przedmiotów do nowego, samodzielnego obrobienia. Ogłosiłem już system własny, nie w Niemczech, ale na polskiéj ziemi jeszcze zrodzony, albo raczéj wylęgły; niemogę więc podług téj lub owéj filozofii wykładać, ale wedle własnego planu. Jestem prócz tego Polakiem, stąd też rarogiem na badeńskich błoniach, i przedstawiam tu całą umysłowość narodu naszego w miniaturze. Oprócz akademików odwiedza moje audytorya wielu urzędników i innych gości. Wszyscy są ciekawi, co też baje ten P o l a k f i l o z o f: czy naszym niemieckim gieniuszom podobny, lub też tylko mówi pacierze jak niedźwiedź ukraiński. Nietylko więc przez wzgląd na siebie samego, ale nawet na cześć naszego narodu, muszę się starać jak najporządniéj rzecz moję wykładać. Dopiero rok drugi czytam prelekcye, niemam więc wygotowanych do tego materyałów, jak stary professor, a tu przedmiotów moc niezmierna! Co półrocze biorę zatém dwie nowe filozoficzne umiejętności, gotuję je w kotle mojego myślenia, obrabiam, okrawam, duszą glinę niemiecką ożywiam i pracuję okropnie, pracuję z nadwerężeniem zdrowia, a czas mój tak wypełniony, że nawet najpilniejsze listy do wakacyj odkładam. — Tak płyną miesiące po miesiącach. Następują wreszcie ferye wiosenne lub jesienne. Kto inny poświęca czas ten roztargnieniu, maléj podróży do Szwajcaryi, Włoch lub Francyi, leżących tu pod nosem; ja zaś rzucam się wtedy do autorskiéj pracy, i to jeszcze w języku niemieckim! Szczwany dawniéj tutaj jak wilk, po wydaniu mego pierwszego dzieła przynajmniéj tyle uzyskałem, żem rząd tutejszy przekonał, iż li dla filozofii żyję i żadném niebezpieczeństwem państwu niezagrażam. Dano mi więc indygenat, pozwolono mi zostać frejburgskim obywatelem, przypuszczono do examinów, wsadzono wreszcie na uniwersytecką katedrę. Ale cóz z tego? Jestem tylko prywatdocentem, t. j. professorem bezpłatnym. Całym mym dochodem honorarya od słuchaczów, a ci biedni i przynoszą mi w większéj połowie atesta zamiast pieniędzy. Walczę zatem z najgwałtowniejszemi potrzebami życia, a mam żonę i familią. Cóż robić? Trzeba się koniecznie z tego położenia wypracować! Jak?.... W Niemczech szanują pisarzy i ich dzieła, nierównie więcéj jak w Polsce, i protegują dobre głowy. Pierwsze me pismo przyniosło mi już tyle korzyści; a więc muszę pisać i pisać w języku niemieckim Przychodzi mi to bardzo łatwo, ponieważ czytając parę razy jeden przedmiot mym uczniom, nagromadzam massy materyałów. Tu już i plan gotowy i techniczne wyrazy do nowych pojęć wynalezione; tu już prawie trzy części pracy całéj wykonane. — Biorę więc pióro; rzecz płynie szybko, jak Wisła nasza lub okręt parowy na Renie, i w przeciągu jednych krótkich feryj leży 60 lub 70 arkuszy pisma mego, gotowych do druku. Jeśli dzieła w jednych feryach dla rozległości przedmiotu ukończyć mi niepodobna, to odkładam je do feryj drugich, a czasem i trzecich. Tym sposobem przychodzę do dzieł kilkokrotnie rozmyślanych, a przecież jednym tchem prawie napisanych. I to jest cudem, co Niemcy we mnie podziwiają.

Teraz właśnie znajduje się u Webera w Lipsku nowa moja praca w druku. Dzieło to składa się z dwóch tomów i ma tytuł:

»Vorstudien zur Wissenschaft der Natur, oder Uebergang von Gott zur Schöpfung &c. &c.«

Ale niedość na tém! Niemcy są przeludnione i do każdego urzędu masz mnóstwo wielkie kandydatów Na tutejszą professurę filozofii czeka już oddawna około dziesięciu głodnych doktorów lub szkolnych nauczycieli. Między tymi wszystkimi muszę się odznaczyć, skoro mi idzie o otrzymanie pierwszeństwa. Chcąc się zaś od tych myślących wprawdzie, ale, Bogu dzięki, w większéj części leniwych ludzi odznaczyć, niedość jest mieć talenta, trzeba je światu wyświecić, trzeba je położyć na dłoni, t. j. trzeba pisać! W Niemczech wszystko stać się musi objektowém, lub, w języku Tygodnika poznańskiego, objektywném. Mimo tego więc, że się dzieło jedno już drukuje, pracuję nad drugiém, t. j. nad logiką. Tutaj już jestem wśród tomu drugiego, który ukończę w przyszłym roku w czasie feryj jesiennych. Tom pierwszy wyjdzie może

kolo Śgo Jana. Żyję zatém pracą jak wół polski zajęty i częstokroć tak znużony, jak gdyby mię kijmi zbito; — wszystko to w nadziei, że kiedyś będę mógł pozbawić się codziennéj, przeklętéj i jak z morza serce tłoczącéj troski o kawałek chleba, i chwilkę odpocząć. Oj! trudno, trudno bardzo się tu Polakowi wypracować! —

»Bravo, bravissimo! cieszy nas niezmiernie ta szczera, naiwna twoja spowiedź. Panie autorze niemiecki, tak jak ty postępują wszyscy egoiści! Pracujesz dla chleba i żołądek twój wygniótł z serca miłość narodowości, kazał ci zapomnieć i zaniechać ojczystéj mowy. Piękna, prześliczna twa powszechna filozofia! Posłuchaj naszéj prostéj, chłopskiéj i prawdziwie polskiéj nauki; posłuchaj, co wiara prawi nasza! Ojczyznie wszystko poświęcić trzeba — dla niéj żadna ofiara niejest wielka; dla niéj nędza bogactwem, głód nektarem Olimpu!« Temi lub podobnemi frazami deklamuje niejeden w Polsce i niejeden w naszéj emigracyi. O bracia! W Polsce macie albo majątek, albo urząd, w emigracyi macie wsparcie od rządu francuzkiego, ja zaś niemam nic prócz dziesięciu palcy, którémi nietylko dla ojczyzny, ale i dla chleba pracować muszę. Matce naszéj ogólnéj ofiarowałem już wszystko co miałem i dla niéj wreszcie poniosłem życie me na pole bitew. Jedenaście razy byłem w boju i kula mię niestety nietrafiła. Za granicą padałem we mdłości od głodu, bo niebyłem bezczelnym jak inni żebrakiem, poznałem cały Ereb nieszczęścia, i czuję żywo dotąd, co to boleść i rozpacz. Łatwo gawędzić o ofiarach dla ojczyzny po dobrym obiedzie i szklance wina lub butelce porteru, łatwo krzyczeć i kląć przeciw temu lub owemu bratu, nieznając co to soliter w żołądku Ugolina, co to obrzydliwa harpija nędzy i pogardy. Kto nieszczęśliwy, ten winowajca, ten niezasługuje na litość, ten próżniak, nieuk, głupiec!... Zmuszony ostatecznością, robię jeszcze jednę ofiarę dla ojczyzny i poświęcam nawet język macierzyński, dla którego niegdyś duszą całą żyłem. Choćbym teraz i chciał pisać po polsku, to stałbym się zbrodniem przeciw niebu i ziemi. Siebie ofiarować można, ale nie żonę i dzieci. Co lepiéj, bracia, czy pisać w języku niemieckim, lub umrzeć z głodu na bruku, albo téż w szaleństwie rozpaczy porwać za pistolet i w łeb sobie wypalić, jak to już niejeden z naszych uczynił?

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Nowiny literackie z Krakowa: Dawno już niewyszła tu w Krakowie książka tak zajmująca ważnością i rozmaitością pism, jak: Starożytności historyczne polskie czyli pisma i pamiętniki do dziejów dawnéj Polski, listy królów i znakomitych mężów, przypowieści, przysłowia i t. p., które z rękopismów zebrał, i przydał Żywoty uczonych Polaków Ambroży Grabowski we dwóch grubych tomach. Wydanie i druk godny jest dla piękności i wspaniałości, Krakowa, gdzie niegdyś (w XVI. wieku) wychodziły Biblie i Syreniusze, — od 1796. do 1816. książki bibułaste, — a teraz wychodzą książki, które co do powierzchowności najpiękniejszym paryzkim nieustępują. Jeśli piękna powierzchowność tych dwóch sporych tomów ujmuje czytelnika, znajdujące się nader rozmaite i ciekawe zabytki literatury naszéj niemniéj podobać się muszą. W pierwszym tomie, prócz ciekawych listów, ważnego przydatku do historyi Lissowczyków, znajdują się żywoty Kochowskiego historyka, Syreniusza botanika, Dollabelli malarza, z dołączonemi ich litografowanemi wizerunkami; — Fiola Swiętopełka drukarza, Stosa Wita snycerza z XV. wieku, Jakimowskiego Marka walecznika, Grzebskiego Stanisława geometry, X. Andrzeja Kochanowskiego kaznodziei, Bernata Krakowczyka astrologa, Witkowskiego Kaspra medyka i Męcińskiego Józefa kaznodziei XIX. wieku. Pan Grabowski niepisze tu o nich i niepowtarza, co już skądinąd nam dobrze wiadomo, ale podaje całkiem nowe szczegóły o ich życiu i pismach, wyjęte z rękopismów, które rzadko komu widzieć się zdarzy, i któreby niekażdemu czytać i wartować się chciało. Między innemi kładzie dowody, że Fiol, co pierwsze książki słowiańskie, przed Hallerem, w Krakowie drukował, niebył Niemcem, ale rodem z Lublina i professyi hafciarskiéj. — Drugi tom obejmuje same oryginalne listy: najwięcéj Anny Jagiellonki, Zygmunta III., królowéj Maryi Kazimiry, a najwięcéj kardynała Hozyusza.

Oświadczenie wydawcy Sławianina.

Panie Redaktorze! (*)

Wyczytałem w numerach 29. i 30. szacownego pisma WPDobr. niby rozbiór wydanego przezemnie tomu IIgo Sławianina, pochodzący jak uważam z tego samego pióra, z którego wypłynęła owa krytyka w ustałym Pamiętniku Krakowskim (Numer 8. z roku 1837.). Stronnicze, zdania téj (ile się domyślam) we Lwowie (?) napisanéj krytyki, łatwoby mi przyszło zbić zupełnie i dowodami ich mylność wykazać; lecz niechcąc nadużywać grzeczności WPD. i użyteczniejszym artykułom poświęconego pisma Jego, mniéj ciekawemi, obojętnemi dla publiczności, a osobistością tchnącemi sporami zapełniać, zachowuję sobie tę wymuszoną, a nieprzyjemną dla mnie powinność, uskutecznić to w trzecim a ostatnim tomie Sławianina, który właśnie do druku przygotowuję, a o którego wyjściu donosząc, odwołuję się do zdania świathéj publiczności, jak ta usiłowania moje osądzi. Jéj wyrok będzie dla mnie stanowczym, bo wiem, że nie osobistość, nie owa prywata, która nas w ważniejszych sprawach zgubiła, lecz rozsądna oględność i wyrozumiałość kieruje zdaniem ogółu, — zdaniem, które wtedy nawet szanować należy, jeżeli potępia, bo czyni to z pewnego narodowego przeczucia, które dla każdego publicznie występującego wyrocznią być powinno. Takiemu z wszelką uległością poddając się wyrokowi, uprzedzam o tém temi kilką wyrazami, co winien jestem słuszności, i niechcąc w opinii publicznéj tego utrzymywać mniemania, że milczeniem złośliwe krytyka zdanie potwierdzam.

Zostaję i t. d.

Stanisław Jaszowski, wydawca Sławianina.

Lwów, dnia 12. Listopada 1839.

(*) Redakcya umieszczając niniejsze oświadczenie szanownego wydawcy Sławianina, oświadcza, iż autor wzmiankowanéj recenzyi zupełnie jéj nieznany, że ją jednak od jednego z najpierwszych literatów naszych odebrała. *Red. Tyg. lit.*

Z bieżącym miesiącem kończy się trzeci i ostatni kwartał tomu drugiego Tygodnika literackiego, który i nadal tak jak dotąd wychodzić będzie. Szanowni prenumeratorowie, którzy złożyli na ten kwartał tylko przedpłatę, raczą, jeżeli przerwy w odbieraniu numerów nie chcą doznać, ponowić ją na przyszłe półrocze.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*